

Po długiej przerwie mamy znowu Różewicza w teatrach warszawskich. Od czasu „Grupy Laskoono”, a przedtem „Kartoteki” (debiut dramaturgiczny poety) w Teatrze Dramatycznym, był tu rzadkim gościem. Raz, bardzo niefortunnie, zagrało „Naszą małą stabilizację” i „Śmiesznego staruszka” Ateneum, przed wakacjami „Akt przerywany” pokazał się w półamatorskim STS-ie. W tej chwili Teatr Współczesny ma w próbach „Śmiesznego staruszka”, z Tadeuszem Fijewskim. A przedtem „tak zwaną komedię” Różewicza, „Wyszedł z domu”, zagrał Teatr Narodowy. Pisało się sporo o tym, że Różewicz jest najbardziej zaniedbanym polskim autorem współczesnym; to prawda. Nie to, że go się źle grało, jak przez długi czas Mroźka; Różewicza w ogóle się nie grało. W tej chwili, zdaje się, teatry warszawskie zaczynają wreszcie rozumieć, że nie granie jednego z najwybitniejszych autorów współczesnych nie jest najlepszym świadectwem, jakie mogą sobie wystawić. Bardzo cieszy zwłaszcza decyzja Teatru Narodowego włączenia tej dramaturgii do swego repertuaru. Odkąd stał się naprawde pierwszą sceną Rzeczywspolitej, potrafił przez samo umieszczenie czwłego nazwiska na afiszu nobilitować autora. Bądźmy szczerzy: Różewiczowi było to bardzo potrzebne. Miał opinię trudnego i mało grzecznego dziecka współczesnej dramaturgii. Pewnie fałszywa opinia, dość jednak skutecznie odcinająca wybitnego autora współczesnego od sceny.

RÓŻEWICZ W „NARODOWYM”

Przedstawienie „Wyszedł z domu” w Narodowym jest więc jakby symbolicznym gestem pojednania Różewicza z Warszawą. To największy (i jedyny, jak się okazuje), plus tego faktu. Bo jest to też trzecia próba Wandy Laskowskiej teatralizowania poety — próba ze wszystkich dotychczasowych najmniej udana, niestety. Wielka machina teatralna, zbyt rozbudowana, niepotrzebnie demonizująca „tak zwaną komedię” Różewicza, przytłoczyła tekst, próbowała mu nadać (po co?) rangę nowożytnego moralitetu, opatrzyła go komentarzem awangardowej stylistyki teatralnej. Najbardziej zwyczajny dialog był podawany z przytupem „nowoczesności”, banalne scenki obyczajowe, piękne właśnie swą zagęszczoną banalnością, sprawiały wrażenie proroczych zwiideń, otwierały się i zamykały w sposób wieloznaczny drzwi (w liczbie trzynastu), na scenę wdzierał się dwukrotnie skłębiony tłum uczestników upiornej pantomimy. „Trafiona” była tyl-

ko jedna scena, z grabarzami, prosta, lekko naszkicowana, bezbłędnie zagrana przez Kazimierza Wichniarza (Stary), Bogdana Baera (Młody) i Ignacego Machowskiego (Henryk). Epizod, który wart był przedstawienia. Wielki bład teatru: obsadzenie w roli Ewy Wandy Łęczycykiej, przeciw tekstowi i przeciw samej aktorce. Nieciekawie, w sztuce salonowej powiedzieć by należało: martwo poprowadzeni Grażyna Staniszevska i Damian Damiński w rolach dzieci, Gizzel i Beniamina. Bardzo precyzyjny w szczególe, rozmazany jako postać Ignacy Machowski (Henryk). Przykro jest kwitować pracę aktorów tak sztampowymi cenzurkami, nie potrafię jednak nie więcej z siebie wydusić: w tym przedstawieniu — odnosiło się wrażenie — aktor był prowadzony za rękę, od scenki do scenki, posłusznie i bez przekonania wykonywał polecenia reżysera. Na widowni, niecierpliwie czekającej na obiecanego jej Różewicza i na żywy teatr, zapowiedziany jedną sceną w pierwszej części, sceną z grabarzami, robiło się coraz chłodniej i coraz smutniej. Gdyby nie przedstawienie Jerzego Jarockiego (w krakowskim Teatrze Starym), gotów bym uwierzyć, że to wina Różewicza. A to przecież zawiń teatr. Wyciągnął przyjaźnie rękę do poety, przywitał go w Warszawie, posadził onieśmiałego na krzeselku i zajął się studiowaniem własnych min. A Różewicz siedział cichutko z boku i wiał.